



Maria Rodziewiczówna

CZAHARY

BUKOWY LAS

I



Dzwony kościelne grały żałobnie. Powietrze pełne było ich skarg – przenikały do wnętrza domów, głużyły szmery. Przechodzień każdy ku dzwonnicy oczy podnosił, a potem zwracał je na karawan przed farą stojący i przystawał, zwiększając ciżbę gapiów.

Ulica zatłoczona była tłumem ciekawych i długim szeregiem zaprzęgów obywatelskich – grzebano kogoś znacznego.

Z gęstych, siwych chmur począł sypać śnieg.

– No, panowie, może już pora na eksportację! – zawołał pan Jan Zarudzki, wchodząc do pokoju hotelowego, gdzie czterech przybyłych na pogrzeb obywateli grało w winta.

Nikt na razie nie odpowiedział, bo rozgrywano partię. Dopiero gdy skończyli, któryś, zapisując, mruknął:

– Dzwonią na egzekwie, jeszcze czas, skończymy robra. Spójrz no, czy konie pod kościołem.

– Stoją. Nie wiecie, czyje to kasztany?

– Czwórka w szorach*? Czyjeż by? Motolda.

* Szor – rodzaj uprzęży, szeroki pas skórzany zakładany na pierś konia wraz z pomocniczymi rzemieniami.

– Eee! To i sam Luter grzebie Janickiego! Wielka parada. Nie wiecie? Sam jest czy z żoną?

– Sam. Od początku siedzi jako przysięgły w sądzie okręgowym. Bez atu.

Rozmowa się urwała. Zarudzki podszedł do okna i na plac popatrzył. Dzwony wciąż grały.

Zajazd pełen był gości pogrzebowych, więc po chwili ktoś znowu wszedł.

– Panowie! Chodźmy. Musimy się przecie w kościele pokazać. Wszyscy już poszli.

– To idź, kiedy ci tak pilno! – burknął jeden z graczy, który wpadł bez trzech na małego szlema.

– Zaraz skończymy! Nie przeszkadzajcie! Nowo przybyły zbliżył się do Zarudzkiego.

– Dziekan może długo i grubo śpiewać. Bierze pięćset rubli za pogrzeb.

– Oni by dali tysiąc z radości, że się wreszcie do fortuny dorwą. Męczył ich stary. Teraz Karolek pewnie Sterdyńską dostanie.

– No, a Lucjan interesy oczyści. Ciekawym, czy się podzielią, czy Karolek Lucjana spłaci. Kapitałów stary nie miał, ale i długów żadnych. Zawsze dla dwóch suto będzie.

– No, siostrom dać muszą spłatę.

– Co tam siostry! Ale co z Wacławem będzie?

– Co ma być. Pewnie dawno przepadł i nie żyje.

– Zobaczysz, że zmartwychwstanie do spadku.

– Eee! Nie będzie się śmiał pokazać.

– No, no! A zresztą Zośka im jakąś sztukę utnie.

– Zośka! Ta weźmie spłatę i drapnie w świat. Dość miała niewoli ze starym.

– Że nieżnośny był, to prawda... Ale o Zośkę podobno stara się Owerło. Stary Janicki kijem go wygonić obiecał, tak o córkę był zazdrosny, teraz może się pobiorą.

– No, panowie, idziemy! Nie wiecie, stypa będzie?
– U dziekana obiad po pogrzebie. Karolek wczoraj wieczorem wszystkich prosił.

– Dobrą mają starkę, jeszcze po chorążym.

Wyszli wszyscy na ganek, przez plac do kościoła, oglądając konie i ekwipaże.

Przystanęli koło czwórki Motolda i któryś rzekł półgłosem:

– Kareta tysiąc rubli, a niedawne czasy Motoldowi żaden Żyd by tysiąca grosza nie pożyczył. Bestia ma szczęście.

– Szczęście? Toć na to szczęście dużo perkalików natkał. Niech no mu żona kipnie, znowu będzie piechotą chodził i z Łasicka z kijem w świat ruszy. Sukcesora ani słyhu.

Roześmieli się na jakąś, szepem dopowiedzianą uwagę Zarudzkiego i weszli do kościoła.

Nad tłumem katafalk królował, msza dobiegała końca, przepchali się przez tłum gawiedzi do pierwszych ławek i tam zaczęli się rozglądać, kto jest ze znajomych, witać się w milczeniu, obserwować zachowanie się rodziny, ilość światła, trumnę, przybranie kościoła.

Zjazd obywatelski był liczny, nikogo nie brakło. Nieboszczyk był długie lata marszałkiem powiatu, rodzina dawno osiadła w okolicy, szeroko spokrewniona, a przy tym pogrzeb wypadł w czasie kadencji sądu okręgowego i dorocznego jarmarku i przed świętami Bożego Narodzenia, gdzie z najdalszych kątów powiatu gospodynie ścigały z powodów spiżarnianych do miasta.

W pierwszej ławce było czworo dzieci zmarłego: dwóch synów, jeden zupełnie łysy, drugi przystojny blondyn, obydwaj z krepą na rękawach i twarzami urzędowo, przyzwoicie straponymi. Kobiety miały na twarzach krepowe welony, więc rysów trudno było rozpoznać. Tym się różniły, że jedna płakała, druga klęczała sztywno, bez ruchu.

Za nimi siedzieli szwagier Janickiego, Wilszyc, z żoną i dwie siostry zmarłego, potem rodzina dalsza.

Celem wielu spojrzeń był Motold.

Tłum ten cały go znał, bo potentatem był powiatu – miał w tym tłumie wrogów i zawistnych, i pochlebców, i krytyków, i oszczerców, nie miał może tylko ani jednego przyjaciela. Stał wśród całej grupy obywateli i niczym się od nich wybitnie nie różnił.

Był średniego wzrostu, wyglądał na lat czterdzieści, włosy już szpakowate, rysy dość pospolite. Trzymał się pochyło, niepozorny był i widocznie obojętny na ciekawość ludzką lub myślą gdzieindziej – nie pozował.

Ksiądz odśpiewał grobowe *Requiescat** i zmieniał ornat na kapę. Ruch się uczynił wokoło katafalku, panowie podeszli bliżej, jedna z córek wybuchła spazmatycznym płaczem, młodszy syn dawał jakieś rozkazy służbie, rozszedł się zapach kadzidła, wszyscy powstali.

Zaczęto usuwać kwiaty i świece, obnażać katafalk. Wszyscy patrzyli na trumnę, jakby na coś żywego, świętego – zdejmowano ją powoli, ostrożnie, dla łachmana ziemskiego mając większy wzgląd jak dla ducha, którego już szarpano krytyką lub lekceważeniem.

Wzięli ją na barki synowie, kilku jeszcze młodych ludzi, wśród nich zauważono Owerłę. Zauważono też, że trumna była za skromna, że młodsza córka okazywała skandaliczny brak serca i żalu. Wtem kondukt ruszył, uczynił się tłok i każdy już tylko uważał, by go nie udużono w ciasnej kruchcie i żeby być najbliżej trumny.

Śnieg padał coraz gęściej – wstawiono trumnę na karawan i na piechotę ruszyła szczupła garstka, a i ta coraz malała. Gdy kondukt wyszedł za miasto, już tylko

* *Requiescat* (*in pace* – łac.) – niech odpoczywa w spokoju.

czworo najbliższych było za trumną – i długi szereg zaprzęgów. Wszyscy klęli w duchu, ale spełniali światowy obowiązek.

Na cmentarzu wśród zadymki i wichru ksiądz spieszenie ceremonii dokończył i gdy murarze zaczęli katakumbę zamurowywać, wszyscy rzucili się do odwrotu. Młodszy syn pozostał z jedną z córek, starsi odjechali, by przyjąć gości na probostwie.

Po chwili śnieg zatarł ślady, dzwony umilkły, murarze skończyli robotę, ostatni zaprzęg odjechał, żywi wrócili do życia, Janicki został na stałe już siedzibie i zupełnym spokoju. Już nawet nie mówiono o nim po zajazdach tego wieczora – mówiono o stypie i o dzieciach. Stypę chwalono – smaczna była i suta, ale tych, którzy ją wydali, szarpano niemiłosiernie.

Nikt z powodu zadymki i winta nie spieszył do domu, tylko Motold o zmroku odjechał – na stypie, pomimo zaproszeń obu Janickich nie był, wymówiwszy się grzecznie, lecz stanowczo, chorobą żony i ważnymi w domu sprawami.

Stary Wilszyc z żoną poszli wieczorem do dworku Spendowskiego, jurysty, który sprawy majątkowe i sądowe całego powiatu załatwiał, był doradcą, przyjacielem i plenipotentem obywatelskim, i tam we dwóch – starzy i czujący może już także bliski kres – poczęli nieboszczyka wspominać i o Janickich długo i szeroko rozprawiać.

Spendowska z Wilszycową opowiadały sobie miastowe i wiejskie kłopoty ze służbą, mężczyźni przypominali młode lata, szkolne koleżeństwo z Janickim, potem wyrzekać zaczęli na młode pokolenie.

– Czy zostawił chociażby testament? – spytał Wilszyc. – Bo ostatnimi laty tak zdziwaczał, że już i do mnie nienawiść czuł i ledwie jakie słowo bąknął. Wacław go dobił.

– Hm, zapewne, nieprzyjemna była sprawa – zamruczał Spendowski. – Jednakże niczym nie jest dowiedzione, że Wacław te weksle pofalszował.

– Toć się przyznał.

– Przyznał się, ale na co i gdzie wydał te pięć tysięcy rubli śledziłem i niczego żem nie odkrył.

– Zabrał ze sobą. To jasne.

– Nie może być. Weksle Kahan trzymał dwa lata, zanim podał do sądu. Żeby Wacław pieniądze miał, toby zapłacił, gdy mu je ojciec w twarz cisnął i przeklął. Ja przy tym byłem i Wacława znałem dobrze. Wie pan, co powiem: on z nich najlepszy, on i Zośka.

– Panie Florianie, a wam co się dzieje! Nie chwalebę ja tamtych ani rachuję na nich, ale zawsze bez skandalu żyją! A ten hańby naniósł, a ta wariatka, jak ją przez ambasadę jako małoletnią ojciec sprowadził z Paryża, to mały wstyd był? Co wyrośnie z dziewczyny, która mając lat siedemnaście, ucieka z domu w świat na awantury? No, odsiedziała ona za to dobrą pokutę z ojcem i miała za swoje. Mówili oni co panu, jak się podzielić myślą?

– Mówiliśmy wczoraj wieczorem. Byli tu obydwaj i zgodnie wszystko zdecydowali. Pan Karol jako najmłodszy przy Woronnem zostaje, pan Lucjan bierze sto tysięcy sploty, na co sprzedadzą las i wezmą pożyczkę bankową.

– No, a siostry?

– Oni rachują dać pani Bronisławie dziesięć tysięcy, *respective** rentę od tej sumy pięcioprocentową, rocznie pięćset rubli, a pannę Zofię do zamęścia pan Karol utrzymuje i taki posag ma jej wypłacić.

– Hm, Karolkowi bardzo ciężko będzie. No, ale Sterdyńska ma podobno czterdzieści tysięcy posagu.

* *Respective* (łac.) – odnośnie, względem.

– Ma. Ja ręczę, gotówką na stół.

– Ha, no, byle ją dostał, to wyboruje. A jakże siostry się zgadzają?

– Nie było o tym mowy, więc musieli się już porozumieć. Mają być wszyscy jutro u mnie dla napisania projektu działu.

– A wiem, bo i mnie prosili na świadka. Nie można im nic zarzucać, politycznie i rozsądnie poczynają, kiedy i los sióstr chcą zabezpieczyć.

W tej chwili ktoś począł gwałtownie do dworku kłatać. Spendowski zdziwiony ruszył do sieni i po chwili rozległ się znany Wilszycowi głos Karola Janickiego.

– Przepraszam szanownego pana za najście o tak późnej porze, ale stała się rzecz tak niesłychana, że musiałem dziś jeszcze o ratunek i radę prosić. Zośka odmawia podpisania działu. No, ale chyba musi być prawo, żeby ją do tego zmusić albo obejść się bez jej zgody.

– Ja przeczuwałam, że ona im nawarzy piwa – szepnęła Wilszycowa do Spendowskiej.

– Co ty mówisz? Odmawia? Jak to? Dlaczego?

Janicki zasapany, rozdrażniony przywitał panie i jękając się z alteracji* wielkiej, mówił:

– Jak to? Dlaczego? Czy wuj jej nie zna? Żeby nam na złość zrobić, żeby nas zgubić. Ona nas nie cierpi, bośmy na jej wariacje się oburzali i strzegli. Ale to nie może być, żeby ona, córka, mogła nam przeszkodzić.

Spendowski milczał, a na ostatnie, do siebie zwrócone zdanie powoli odpowiedział:

– Dział może być prawomocny przy zgodzie wszystkich członków rodziny. Należy wpłynąć na pannę Zośkę, wyrozumieć jej chęci, bez jej podpisu nic uczynić

* Alteracja (łac.) – wzburzenie, irytacja.

nie możemy. Zapewne powiedziała panom, dlaczego zgody swej odmawia.

– A powiedziała. O! Ona widocznie dawno plan ma gotów. Żąda wydzielenia swej czternastej części ziemi, a siódmej w ruchomościach i żąda wydzielenia schedy Wacława.

– Wacława?! – zawołali wszyscy zdumieni.

– Tak. Widocznie poza plecami ojca utrzymywała z nim stosunki potajemnie i mówi, że ma jego prawne pełnomocnictwo do działania w jego imieniu.

Zapanowało grobowe milczenie. Nareszcie Wilszyc ręce ze zgrozą wzniosł do góry.

– Awantura! – jęknął.

– Oto jest rezultat wszystkich emancypacji i wolności dawanej pannom! – wybuchnęła Wilszycowa. – Sumienia i wstydu nie ma taka dziewczyna. Całą rodzinę gubi! Nic nie uszanuje, nawet ojcowskiej świeżej mogiły. Zgroza!

– Będzie dużo ambarasu i mitręgi. To może potrwać lat parę, a ile będzie kosztów i pisaniny! – mruknął Spendowski.

– To musi się lada dzień skończyć. Lucjan ma terminowe spłaty. Rozszarpią go Żydzi. A ja! Co powiem Sterdyńskim! Albo ja wiem, co ja mam, gdzie żonę przywiozę, za co się wyekwipuję. Toć w Woronnem ruina, ojciec od dziesięciu lat wszystko zaniedbał, mnie grosza nie dawał. Mam także długi, musiałem z czegoś żyć przecie. A gdzie się podziewały dochody, to jedna Zośka wie. Ojca opanowała, gdy zniedołężniał, niby on rządził z fotelu, a jej wszędzie było pełno, bezład nie do opisania i chaos w gospodarstwie. Tysiące teraz pochłonie zaprowadzenie ładu, a przecie dochody były, a w biurku ojca znaleźliśmy tysiąc kilkaset rubli – to pogrzeb pochłonie.

– Panna Zofia nie zatai, jeśli o kapitałach coś wie – rzekł Spendowski.

– Pytałem, odpowiedziała, że księgi ojciec sam prowadzi, żebym je przejrzał. A wie wuj, że ona nawet do Woronnego wracać nie chce. Powiedziała, że tu, w miasteczku, zamieszka i po wydzieleniu jej czternastki tam osiadzie.

– Gdzie będzie mieszkać? Z czego się utrzymywać? – jęknął Wilszyc.

– Już znalazła drugą wariatkę. Tę wściekłą Bajkowską. U niej wynajęła już pokój.

– Jezus Maria! W traktierni* będzie siedzieć. To już skończenie świata! – zawołała Wilszycowa.

– Na to nie można pozwolić – rzekł Wilszyc. – Ja się z nią jutro rozmówię, ona musi się opamiętać. Ja jej przedstawię, czym to grozi. Ja jej zapowiem, że wszyscy ją odstąpimy, na nikogo niech nie rachuje. Ona się złącznie opinii publicznej i zerwania z rodziną. Jeszcze nie desperuj, Karolu, uchodzimy ją. Zresztą przez wzgląd na Owerłę na skandal się nie odważy. Gadać w gniewie łatwo, ale po rozwadze się umityguje. Ja ci powiem, że najgorsza jest scheda Wacława. Jeśli naprawdę on żyje, musicie go wydzielić. To nie czternastka siostrzana, to dziedzic wam równy.

– Ojciec powtarzał do ostatniej chwili: mam dwóch synów, tamten swoje wziął, nie znam go i nic jego tu nie ma.

– To jest fakt moralny, to żaden dokument – rzekł Spendowski. – Woronne pójdzie na trzy dział. O, bardzo się interes gmatwa. Nasz pierwszy projekt zupełnie trzeba zmienić, żaden punkt nie zostanie.

– Więc ja zginąłem! – jęknął Karol płaczu bliski. – Pozostaje mi chyba w łeb sobie palnąć. Lucjana z dzierżawy wyrzucą, na dziady zejdziemy wszyscy. Panie Florianie, w najlepszym razie, kiedy może być dział zatwierdzony?

* Traktierna – jadłodajnia.

– Przy ogólnej zgodzie do pół roku formalności się przeciągną.

– Więc i sprzedaż lasu, i pożyczka bankowa nie może być pierwszej?

– Nie! – odparł prawnik stanowczo i dodał po namyśle: – Tylko mógłby pan otrzymać prywatną pożyczkę, opartą na sprzedaży lasu, ale nic nie można zrobić i dostać, dopóki dokument dzielczy nie będzie przez was wszystkich rejentalnie podpisany...

– Wuju! – porwał się Janicki. – Rozmówcie się dziś jeszcze ze Zośką, uspokójcie Lucjana, ratujcie nas. Konie moje stoją. Jedźmy!

– Jedź, Michale! – rzekła Wilszycowa.

– No, to ruszajmy razem, już późno! A może by i pan, panie Florianie, z nami, to zaraz będziemy wiedzieli, co jutro poczynać. Ja jestem pewny, że dziewczyna się opamięta, a im istotnie pilno kończyć.

Spendowski się zgodził. Do zajazdu, gdzie mieszkali Janiccy, niedaleko było. Lucjan z żoną zajmował jeden numer, Karol – drugi, obie córki mieszkaly osobno, w końcu korytarza. Wstąpili do Lucjanów, zastali ich oboje zupełnie przybitych. Istotnie położenie ich było fatalne, Lucjan za posag żony wziął przed siedmiu laty dużą dzierżawę. On był próżny i leniwy, ona miejska panna, znająca wieść tylko z opisu i letnich mieszkań. Poznali się w karnawale, pokochali na zabój i po Wielkanocy się pobrali. Stary Janicki sprzeciwiał się małżeństwu i nic synowi dać nie chciał. Więc Lucjan na kredyt wziął dzierżawę, na kredyt urządził dom, potem posagiem żony długi spłacił i znowu się zapożyczył.

Narzekał na złe lata, na nieurodzaje, na klęski, a w rezultacie prócz tego narzekania niewiele co robił. Rodzina się powiększała, było dzieci czworo, oczekiwano piątego. Pani z eleganckiej panny zmieniła się w zwiędłą, cherlającą,

zaniedbaną w stroju babę. Snuła się po domu z kąta w kąt, znudzona, apatyczna, bezmyślna, zawsze na wpół tylko ubrana i rozczochrana.

Stary Janicki raz ich odwiedził – nazwał ją flądrą – i więcej już nie był w ich domu.

Z całej rodziny Lucjan i starsza siostra, Bronisława, byli flegmatyczni i łagodni, zgadzali się zwykle biernie z losem, nie spierali się z ojcem, nie walczyli z dołą, nie myśleli o przyszłości, nie mieli żadnego zdania i charakteru, nawet do złego nie mieli chęci ani energii. Płakali przy śmierci ojca, najmniej chciwi byli spadku, a teraz Lucjan nie sarkał ani się miotał, ale siedział osowiały nad żoną i czekał, co Karol obmyśli, a Spendowski postanowi. Najchętniej by się spać położył, ale nie wypadało.

– No, Lucjanie, pójdziemy do Zośki – rzekł energicznie Wilszyc. – Przyprowadzimy ją tutaj i będzie zgoda.

– Myśli wuj? Dałby to Pan Bóg, ale już ją Karol dwie godziny namawiał i nie chce.

Wstał z westchnieniem i wyszli wszyscy. Karol ze Spendowskim zostali po drodze, by czekać na rezultat poselstwa, a oni zapukali do pokoju sióstr.

– Kto tam?

– My z Lucjanem! Otwórz no, musimy się z tobą widzieć.

– Bronka już śpi.

– Niech śpi. Krzyczeć nie będziemy.

Po chwili jakby wahania rozległy się kroki, klucz zgrzytnął. Weszli.

Przed nimi stała dziewczyna w czerni, średniego wzrostu, szczupła, o twarzy suchej i ściągłej, bystro i jasno przed siebie patrząca. Nie udawała, że nie wie, z czym przychodzą, ani nie wyglądała na strwożoną przed walką. Podała im krzesła i sama usiadła, i czekała, złożywszy rękę na piersiach.

– Co ci się, Zośko, stało? – rzekł Wilszyc. – Odma-
wiasz swego podpisu na dziale. Niezgodę i kwasy wnosisz
do rodziny w dzień pogrzebu ojca, czy to się godzi?

– Żadnych spraw w dzień pogrzebu bym nie wszczy-
nała. Lucjan wie, kto zaczął tę kwestię.

– Karol zaczął, to prawda, ale widzisz, wejdź w nasze
położenie. Ja mam palące długi, on chce się o Sterdyńską
upewnić.

– Ja także rada prędeż mieć zapewniony los i niczego
nie żądam więcej, niż mi się z prawa należy. Jestem pod-
lejszego gatunku spadkobiercą, dostaję czternastą część.
Dajcie mi ją, a zaraz, co chcecie, podpiszę.

– No, przecie Karol daje ci tyleż, co Bronce, dziesięć
tysięcy rubli.

– Po pierwsze, daje mi tylko utrzymanie do wyjścia za
mąż, czyli że jeśli za mąż nie pójdę, będę do śmierci na
jego łasce i opiece, a ja łaski nie potrzebuję, a opiekować
się sobą potrafię i sama. A po drugie, co znaczy ta suma
dziesięć tysięcy? Kto ją zdecydował i na jakiej zasadzie?
Może mi za wiele raczą dać, ja chcę tylko mojej czterna-
stej części.

– Jakże to? Ile ją rachujesz?

– Pięćset trzydzieści pięć morgów ziemi z Woronnego.

– Ziemi?! I tyle! Oszalałaś. Któż będzie kroić mają-
tek na kawałki dla córek. A synom co zostanie? To by po
kilkunastu latach ani jedno rodowe gniazdo nie zostało,
wszystko pójdzie w obce ręce...

– Moje ręce nieobce.

– Bajasz banialuki. Jest tradycja i obowiązek nad
prawem nawet. Córkę biorą posag, a ziemię rozdrabiać
grzech. Zresztą, po co ci ziemia. Nie chcesz być na łasce
Karola, no to ja wpłynę na ich decyzję i wypłacę ci twą
część gotówką, jak Bronce.

– Niech się wuj nie trudzi, ja inaczej jak w ziemi swej części nie chcę.

– Ależ Zosiu, miejże wzgląd na mnie i moją rodzinę. Karol cię rozdrażnił i obraził, ale za co ja mam ginąć? – rzekł Lucjan.

– Ty czy tak, czy nie, zginiesz! – odparła twardo. – Zresztą chcesz dojść prędzej do spadku, czyń jak ja. Żądaj także swej części w naturze. Na twój dział wypadają dwa tysiące sto czterdzieści trzy morgi.

– Skądże to! Jak rachujesz? – spytał.

– Woronne ma obszar siedem tysięcy pięćset morgów, z tego potrąciwszy nasze dwie czternastki tysiąc siedemdziesiąt morgów, pozostaje na każdego z was trzech po dwa tysiące sto czterdzieści trzy morgi. Według najniższej ceny po pięćdziesiąt rubli morga twoja scheda warta sto sześć tysięcy siedemset rubli, nie licząc inwentarzy i ruchomości.

– Karol więc mnie nie skrzywdził. Wolę wziąć sto tysięcy gotówką, a fortuny nie rozdrabiać.

– Lepiej rozdrabiać, niż długami obciążać. Ale wy wolicie być wielkimi panami. Spytaj tylko Karola, czy po oddzieleniu części Wacława da ci za twoją sto tysięcy. On tylko jednego brata chciał spłacić, a o drugim zapomniał.

– To prawda, o Wacławie nie było mowy – zamruczał Lucjan, argumentem tym zaniepokojony.

– Słuchaj no, Zośka – rzekł poważnie Wilszyc – tu nie czas na fantazje i kaprysy kobiece. Tu się toczy kwestia poważna, chodzi o los nas wszystkich, o przyszłość całej rodziny, o opinię ludzką, o honor nazwiska. To, czego pragniesz, jest niesłychane i tego nie dostaniesz. Oni ci tego dać nie mogą, bo obydwie zginą, a przecie ruiny ich na swe sumienie brać nie zechcesz ani narazisz siebie na potępienie całej rodziny i zerwania z nami wszelkich węzłów, gdy oddasz sprawę tę waszą prywatną na sądową

drogę. Na to ani pozwalamy, ani ci tego darujemy. Zostaniesz w tej walce sama. Zastanów się tedy, czym ci to grozi, i opamiętaj się, póki czas.

Zośka, słuchając, podniosła oczy na wuja i nie spuściła już wzroku. Oczy jej z siwych stały się prawie czarne, a ciemne brwi zbiegły się nad czołem, nozdrza rozdymały się i cała twarz się zmieniła. Nie przerwała jednak, dosłuchała – milczała chwilę – i wreszcie wzruszyła ramionami i dziwnie się roześmiała.

– A kiedyż to ja, wuju, nie byłam sama i kiedyż to doświadczałam sympatii, opieki i serca rodziny? Przed siedmiu laty Lucjan i Karol gonili za mną aż do Paryża i jak zbiegłą kryminalistkę odwieźli do domu z rozkazu ojca. Nie chciałam wtedy ziemi ni działu w majątku, chciałam tylko człowieczej wolności. Do tej chwili miałabym fach i stanowisko i nie wzięłabym nic z Woronnego. Tamto nazywano piętnem hańby, wstydem, skandalem, nie pozwolono mi iść wybraną drogą, złamano mnie, małoletnią, przemocą rodziny. Musiałam się poddać, wybrać inną drogę, inny cel. Po siedmiu latach, gdy żądam tego, co mi się z prawa należy, znowu ma to być piętnem hańby, wstydem, skandalem. No, ale tym razem ani małoletnia, ani władzy rodziny już nad sobą nie uznaję. Gdy ojciec umarł, już się żadnym groźbom nie poddam. Chodzi wam o to, bym została zerem, rezydentką u brata. Może mnie kto raczy za żonę wziąć albo przy Bronce w Warszawie mam osiąść i żyć z procentu od owych dziesięciu tysięcy, rzuconych mi wspaniałomyślnie przez Karola, lub umierać z głodu, gdy mi ich nie przyśle. Nie, wuju, wobec takiej perspektywy zostanę sama, ale na gruncie, wrosnę w ziemię i dział mi dać muszą, choć nie chcą. Oni walczą o dobrobyt, ja tylko o byt będę, ale nie ustąpię i nie zastraszycie mnie już teraz skandalem.

Wilszyc zaczerwieniony porwał się z miejsca.

– To twoje ostatnie słowo i stała wola?

– Tak, wuju. – Powstała i ona także.

– Zatem pamiętaj, że nie masz rodziny.

– Wiem o tym.

– Rachuj tylko na siebie. My wszyscy będziemy zawsze po stronie braci twoich i potrafimy ich obronić przed twoim egoizmem i chciwością.

– Brońcie, jam na to przygotowana.

– Nie chcę cię nazwać, jak tego jesteś warta. Ukarze cię Pan Bóg i własne sumienie kiedyś, gdy będzie za późno. My się ciebie wyrzekamy. Chodź, Lucjanie. Słowa więcej rzec do niej się nie godzi.

Zośka usunęła się im z drogi, słowa nie rzekła, gdy drzwi się za nimi zamknęły, popatrzała w tę stronę, wzruszyła ramionami i pogardliwie się uśmiechnęła. Wtedy zza parawanu ozwał się szept:

– Jezus Mari, coś ty zrobiła.

– Śpij, nie twój kłopot. Ciebie nie wyklęli.

– Ale przez twój upór i ja nic nie dostanę – szeptał żaloszny głos.

– Dlaczego? Bądź spokojna. Jutro powiedz Karolowi, że żądasz natychmiast twoich dziesięciu tysięcy i zaraz go pokwitujesz ze wszelkich pretensji do spadku albo stajesz po mojej stronie, to ci do wieczora wypłaci.

– Dlaczego? Ty myślisz, że oni się ciebie boją?

– Dlatego, że nasza część prawna warta około trzydziestu tysięcy. Zarobi na tobie grubo.

– Jakaś ty chciwa i interesowna, Zośka. Co się z ciebie przez te kilka lat zrobiło!

– Żyłam z ludźmi, więc jestem zła. Gdy znowu sama zostanę w tej pustce, którą mi wydzielą, poprawię się. Teraz mi ino dziób i szpony potrzebne. Nie myśle, że

się mnie boją, ani tego potrzebuję. Muszą mi dać, czego żądam, i ani sumienie, ani Pan Bóg mnie za to karać nie będzie. O to jestem spokojna i idę spać, czego i tobie życzę.

Zaczęła się rozbierać i zdmuchnęła lampę. Zapadło milczenie, po chwili zza parawanu znowu się odezwał szept:

– Zośka, jakże ty mi radzisz? Bo ja nie wiem, Lucjan naprawdę zginie. Opowiadali mi wszystko szczegółowo, oni wiszą na włosku.

– Ty ich na tym włosku powiesiłaś?

– Nie o to chodzi, ale jakże ich gubić! Brat rodzony.

– A twój Władek i Marylka czyi rodzeni? Po co się mnie radzisz? Powiedziałam ci raz, jak myślę, potem tam ci cię przekonali, jutro, jak cię zbuntują, zerwiesz i ty ze mną wszelkie stosunki, więc po co mam się darmo fatygować? Tyś do walki niestworzona, płyn z falą. To ci tylko obiecuję, że jak ta fala wyrzuci cię jak rozbitka na piasek, mój dom – twój dom i twoich pędraków. A nie uczynię tego, żeś mi siostra, ale żeś kobieta i słaba. A teraz śpij!

Ale Bronka nie chciała spać, poczęła płakać. Zośka udawała zrazu, że tego nie słyszy, wreszcie zawołała:

– Czego ty beczysz?! Czego ty chcesz?! Mówże, słucham.

– Taka sama jestem, taka nieszczęśliwa sierota. Ani pomocy, ani rady, ani oparcia, taka sierota – powtarzała Bronka wśród łkań. – Żeby jeden przyjaciel, jedna dusza życzliwa. Wszyscy mnie odstawili, nikt nad moją dolą nie ma litości.

– Bronka, słuchaj no, kogo ty obwiniasz? Prawda, tobą kierować trzeba, ale czyś ty się kiedy kierować dała? Nie masz siły ani woli, a masz upór. Podłe twe położenie, nie przeczę, ale po coś je sobie urządziła. Czy ci nie wstyd teraz lamentować! Gdy się Krukowski zaczął wokoło ciebie kręcić, nie perswadowali ci wszyscy, że blagier, że

próżniak, że nic nie posiada i że suchotnik? Uparłaś się, poszłaś za męża. Potrzebne ci to było?

– On mnie tak kochał, tak prosił!

– To dopiero racja!

– Ty nic rozumiesz tego. Ty nie masz serca.

– Takiego, żebym je komu dawała, dlatego, że prosił, to nie, dzięki Bogu. No i na tobie dowód, że nie warto.

Dużo ci przyniosło małżeństwo?

– Żeby Leon żył, miałabym obrońcę i opiekę.

Zośka aż porwała się i usiadła na łóżku.

– Bój się Boga, Bronka, czyś ty pamięć straciła! Jakimże on ci był obrońcą i opiekunem? Żyliście ze sobą trzy lata, miałaś dwoje dzieci, utrzymywał was ojciec, bo on cherłał i sam potrzebował ciągłej opieki. Byłam u was parę razy i wiem, jak niezdolny był w pożyciu, ty się zalewałaś łzami i przeklinałaś los, on cię traktował jak kupioną na targu niewolnicę, a teraz raptem żałujesz go i ubóstwiasz! To szczęście, że te sumy, co ojciec wam dawał, zapisane tylko jego ręką w prywatnym notatniku i w moim posiadaniu, bo żeby stały w rachunkach i Karol je znalazł, to grosza by ci ze spuścizny ojcowskiej nie dał. Streszczając czyny tego twego opiekuna i obrońcy, pozostaje jako ich rezultat dwoje dzieci, bo zresztą zmarnował twoje pieniądze, twoje zdrowie, zatrul ci kilka najpiękniejszych lat życia i tyle! To mi dopiero bohater, masz nad kim kwilić!

– Zośka, grzech jest o umarłych źle mówić.

– Grzech jest tak żyć, by po sobie żadnej albo złą pamięć zostawić, o tym niech żywi pamiętają. Jesteś matką, musisz w sobie wyrobić charakter i wolę, by móc dzieci wychować. Dobrowolnie nabrałaś na głowę obowiązków, teraz je dźwigać musisz, a nie lamentować. Leona nie wskrzesisz, ojcem i matką musisz być dzieciom, to pamiętaj.

– Cóż ja pocznę, nieszczęśliwa! Nie mogę, nie godzi się wbrew całej rodzinie iść. Ty nie dbasz o opinię, ja muszę przez wzgląd na moje wdowieństwo i sieroty. Oni mnie nie skrzywdzą, oni mają dobre serce, wuj Wilszyc nie dopuści. To by grzech był ciężki.

Zośka położyła się do snu i rzekła:

– Kupże im wszystkim po jednym egzemplarzu katechizmu, podkreśl odnośnie do ciebie grzechy czerwonym ołówkiem i zdaj swe losy w ich ręce. To ostatnie moje słowo w tej kwestii, a teraz daj mi spać, bo jutro czeka mnie ciężki dzień.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



Barwna historia szlacheckiej rodziny
u schyłku XIX wieku na Kresach.
Po śmierci pana Janickiego jego dzieci spierają się
o majątek Czahary. Zosia, najmłodsza dziedziczka,
nie poddaje się presji dwóch braci i walczy
o zachowanie prawa do spadku dla siebie oraz uznanego
za zaginionego trzeciego brata – Wacława.
Wkrótce każde z rodzeństwa rozpoczyna samodzielne
życie... ale czy wszyscy osiągną szczęście?



bukowylas.pl
Cena: 49,90 zł